

Ładowały zatłoczone omnibusy powietrzne, prywatne, luksusowe, jedno i kilkusobowe aeroauta.

Ścisk, chaos różnych języków, gwar, dialektów, akcentów, syk grózb, szum obelg.

Prezydenci wszystkich Stanów, Rady Nadzorcze całego globu — ministrowie całego świata — tłum czarny, czerwony, żółty, skośnooki, szerokonosi, grubousty — tłum ludzi wysokich, małych, średnich, żyjących na równiku i pod biegunami. Tłum brązowy, biały, z wysp, łądów, przylądków, półwysp, tłum chciwy, zachłanny, ciekawy, bezlitosny.

Ponieważ kolos nie mógł pomieścić w swoim wnętrzu rozszalałego oceanu głów — rząd obiecał, że załączy wszystkie telewizory i aparaty radiowe, aby cały glob wziął udział w sądzie.

Piętra, galerje zalały się potopem — ulewą tłum. Deszcz głów, grad oczu, wiatr oddechów, pioruny łopoczących serc.

Obok prezydenta Stanów Zjednoczonych siedział siwy, wysoki pan, minister komunikacji Mr. Markham. Za nimi wieniec ministrów, prezydentów Rady Nadzorcze, delegacje.

Na odległe piętra załączone były telewizory i radja, aby każdy — mimo dalekości, mógł widzieć i słyszeć.

„Rada dwunastu sędziów“ zaległa wysokie podjume. Cały świat był przy aparatach.

I ci w gmachu — i ci na odległych milionach kilometrów.

Zapaliły się czerwone iskry serc — wydeły się i wstrzymały w bezruchu pęcherze płuc, zabulgotały puls, napięły się żyły, skurczyły się łuki ust, rozszerzyły gałki ocz — na salę wchodził Marek Chevreuil.

Spokojna, smutna, aureolą bezruchu otulona twarz.

Marek Chevreuil, największy amerykański malarz — Marek Chevreuil, morderca — Marek Chevreuil, burzyciel kultury XXII wieku.

Tłum zakłósał się jak wezbrane morze — i znów zastął w bezruchu.

Marek usiadł na przygotowanym krześle.

Trzy sygnały radio-dzwonków przedały, przekrajały ciszę.

Prokurator zaczął mówić głosem, który spadał jak zimne, pewne, niechybiające celu cięcia katedry.

Fale chwytały słowa jego i posyłały na cały świat. Centrala pracowała.

— Marku Chevreuil! Jesteś oskarżony przez Mr. Markhama o morderstwo popełnione na jego jedynej córce a przez całą Amerykę o to, że położyłeś tamę rozwojowi uregulowanego życia. Co masz na swoją obronę?

Umilkł.

Zakłósała się znów paszcza oceanu i zaszumiała wiatrem przepalonych oddechów.

Stężała siwa głowa Mr. Markhama.

Marek Chevreuil podniósł się wolno i podszeł parę kroków do podjumu.

— Co mam na swoją obronę?

...Wszystko to, czego nie uwzględnicie, a nie z tego, co by zaważyć mogło na szali odkupienia i przebaczenia — mówił matowym, bezbarwnym głosem.

Przestał i zaczerpnął oddechu.

— Co mam na swoją obronę? — Chyba to,

że nie zaprosiłem Army Markham do swojej pracowni z premedytacją, z określonym z góry planem. Chyba to, że opętała mnie twórcza wizja, zdruzgotała, wyjęła z piersi serce, zapaliła w mózgu wszystkie ognie, nakazała szaleństwo ręką, rozkołysała mnie płomiennym wiatrem, wstrząsnęła dreszczem najwyższej sztuki, rozświeciła błyskawicami twórczości, stratowała, zgłębiała, przybiła. — Chciałem stworzyć największy obraz świata, ale cóż o tem wiecie wy, którzy wysiłki ludzkie mierzycie falą radja i zimnym promieniem elektryki?

Cóż wiecie o sercu, o pożądaniu, o bolesnym świetle malarza, jedyne go artysty, któremuście pozwolili żyć na globie? Cóż wiecie wy, którzyście pogrzebali ze śmiechem duszę Michała Anioła, — wysiłek Tycjana, Leonarda, Rafaela, Rembrandta — wy, którzy znacie tylko reklamy i ilustracje prasowe?

Twarc Marka ożywiła się.

Stu osiemdziesięcio-piętrowy kolos zadygotał. Marek Chevreuil bluźni sądowi? bluźni całemu rozwojowi kultury?

— Co mam na swoją obronę? — Chyba to, że kochałem Armę Markham, kochałem jak moją sztukę, jak mój jeden jedyny obraz, który was tak przeraził, który was zdruzgotał, stratował, zabił.

Kochałem Armę Markham.

Mówię to dzisiaj wam sędziom i wam, ciekawym tłumom z głową dumnie podniesioną do góry. Mówię to ojcu — Mr. Markhamowi.

Mówię to dziś całemu światu, który — wiem, że słucha słów moich przez aparaty.

Mówię to dzisiaj po raz pierwszy Armie Markham, która mnie także słucha.

Po tłumach przeszedł ogień zdziwienia.

Marek Chevreuil kochał Armę i zamordował ją? zamordował w taki okropny sposób?

— Chciałem, żeby ta kobieta stanęła na piedestale mojej sztuki, — żeby zadała klam waszemu zmechanizowanemu życiu, waszej maszynowej kulturze, dla której śmierć jest jednym z tych co do minuty obliczonych punktów programu. Chciałem, żeby przypomnała ludzkości normalne pojmowanie życia i śmierci.

Ale czyż jest to moja obronę? Raczej potępieniem! Chciałem z mego ducna uczynić ocean, który stawia tamę pochodowi waszej maszyny, waszej regulacji, — waszej normalności!

Chciałem z mojej sztuki stworzyć Mont Everest, którego żadna kolejka nie dotknie elektrycznym zębem, którego nie przeforsujesz, nie ujarzmicie!

Chciałem z mego obrazu uczynić biegun, którego byście nie mogli zaludnić i omotać żadnymi radjowymi falami.

Chciałem skierować świat na inne tory.

Na zapomnianą, na zagubioną drogę ducha! Ale czyż pojmiecie to wy, którzy tego ducha zabijacie zimnymi promieniami, wieszacie na krzyżu elektrycznej potęgi?

Chciałem uzdrowić ludzkość!! — wykrzyknął z mocą Marek.

— Uzdrowić ludzkość — powtórzył wyczerpanym szeptem.

Usiadł.

Teraz zaryczał ocean, zawył, wybuchnął, skłę-

bił się, skręcił, wznosił w górę, wypłynął z dna, zatopił cały łąd.

Liljowe pioruny miliona burz, orkan wściekłości, trąba powietrzna zemsty.

Huk różnorodnego okrzyku:

— Śmierć! Winien śmierci! Śmierć!

Zakłósała się siwa głowa Mr. Markhama.

— Śmierć! — zawyrokowały jego starcze, ojcowskie wargi.

Marek spokojnie popatrzył w górę.

Jeden tylko człowiek nie krzyknął tego słowa.

Jedna kropla w morzu! Jedna przygarść gliny! Jeden liść na olbrzymim drzewie!

Nilmani Kundu!

— Może i on chciał dobrze, tak jak i ja — może i on? — myślał wpatrzony w postać Marka.

Dzwonki nakazały spokój.

Sędziowie wyszli do przybocznej sali, aby złożyć w urnie swoje głosy.

Nagle wewnątrz kolosa skamieniało w przerażeniu.

W powietrzu zakłósał się największy obraz świata „Strach przed śmiercią“. Przedał przestrzeń

jak cięcie archanielskiego miecza, rósł, wydłużał się, rozszerzał, zagarniał coraz szersze kręgi, świecił płomieniami błyskawic, oddychał, ruszał się, — żył.

Obłęd ścisnął czaszki, konały oddechy, zastęgały żyły, ścinała się krew. Strach, przerażenie obdzierały ze skóry widzów. Włosy jeżyły się na głowach. Nikt nie mógł przemówić słowa, nikt nie mógł wychnąć szmeru. Lancety ślepej bojaźni przesywały worki serc.

Na haku wisiała Arma.

Mr. Markham skamieniał na krześle na wieczność.

Ani oddechu, ani szmeru, ani szelestu.

Martwość ciszy przedał skrzyp pióra.

Słyszaly go serca wszystkie — i te zamknięte w hali — i te oddzielone milionami kilometrów.

Skrzyp pióra! oddech pióra!

Cisza.

Sędziowie wchodzili z dwunastoma głosami: „śmierć winowajcy“.

Poskręcali się jak węże, jak żmije, jak padalce. Cały stół był przykryty olbrzymią białą płachtą, a na niej zastęgały wielkie, fosforyzujące słowa.

Obraz znikł.

Prokurator odczytał w upiornej ciszy:

„Nie mechanizujcie życia. Nie obliczajcie godziny śmierci. Nie przemożecie tej potęgi nigdy. Pozwólcie płynąć w skupieniu duchowi Pana i duchowi człowieka.“

Jestem dumna, że moje życie posłużyło do nawrócenia was ze złej drogi.

Arma“.

Teraz zakłósały się serca jak zamierzchle, świąteczne, zatopione dzwony.

Spokój otulił wszystkich złotymi promieniami skrzydeł.

Pochyliły się rozumy i dusze.

Pochyliły się wszystkie jestestwa nisko, do stóp tajemniczej potędy.

— Uwolnić! — zakrzyknął potężny, rozkołysany spíž głosu Nilmani Kundu.

— Uwolnić! — huknęła paszcza oceanu.

K O N I E C

Artystka, literatka, nauczycielka, zlemlanka, lekarka, urzędniczka, matka, żona; kobieta rodzinna i samotna

48 stron drukul czyta ulubiony swój społeczno-literacki ilustrowany tygodnik 48 stron drukul

Pre. mies. zł. 4'80.  
Nr. pojedyn. zł. 1'80.

„BLUSZCZ“

Pre. mies. zł. 4'80.  
Nr. pojedyn. zł. 1'80.

„Bluszcz“ hołdują na zasadzie, że kobieta polska obok wysokich zalet duchowych, winna posiadać umiejętność pracy dla społeczeństwa, rodziny i siebie, pracy tej uczy. Ilustrowany dodatek m. d. zawierający około 15-tu (miesięcznie 60) modeli ubiorów, bielizny oraz ubrań dziecięcych, tablica krojów i arkusz wzorów robót naturalnej wielkości, zastępują w zupełności drogie zagraniczne żurnale.

Administracja:

Warszawa. Krak. Przedm. 99  
(Plac Zamkowy)

Konto P.K.O. 3700

Klejnoty, wyroby ze złota i srebra, zegarki

JUBILER

WILHELM FUCHS, MORAWSKA OSTRAWA, ULICA L. 28 RIJNA.